

# Na sznur rzadko bywa za późno

18 kwietnia 2022

W Polsce demokracja i warcholstwo to od bardzo dawna dwie strony tej samej fałszywej monety, którą jedni sobie wrywają, mniemając, iż to największy skarb, który koniecznie trzeba spożytkować tu i teraz, bo szybko traci na wartości i raz się żyje, drudzy zaś tylko odkładają na czarną godzinę.



Teoretycznie spojrzenie wstecz mogłoby pełnić rolę kaganka oświaty, ale cóż, kiedy to wątle źródło i w jego lichym blasku każdy widzi jeno tyle, aby wyobraźnią uzupełniać niedostatki obrazu. Wobec tego stale powraca koncepcja odgórnego ustalania, jak było naprawdę, którą kolejne pokolenia przywódców usiłują czynić oficjalnym stanowiskiem narodu. Jako element programowo wrogi tzw. polskiej racji stanu, usilnie staram się śledzić te momenty, kiedy dotychczasowa jedynie słuszna prawda zaczyna płynnie przechodzić w następną. Rad bym tę chwilę opędzić choćby judaszowym srebrnikiem, ale tylko macam po pustych kieszeniach. Przy okazji znajduję, że ni czapki, ni rogu, szczęśliwie na sznur rzadko bywa za późno, a pić się chce.

Macając po ciemku w słusznej narodowo pozycji poszukiwacza prawd zbędnych, na czworakach, trafiłem na złamany grosz, więc nie będę skąpił. Może zaangażowani artyści prawdę powiedzą w wieszczym widzie. Zerknijmy.

Z wielkim zaciekawieniem odpaliłem „Ucieczkę na Srebrny Glob”, ubiegłoroczny dokument Kuby Mikurda, opowiadający o kulisach powstawania największego niespełnionego triumfu Andrzeja Żuławskiego, co to się cenzorom nie kłaniało. Tematyka tylko pozornie księżycowa, choć historia fantastyczna; do tego autentyczna, co, jako się rzekło, w Polsce wcale nie równa się prawdziwa. Dotychczasowa linia narracyjna na temat tamtych

wydarzeń szła w tę stronę, iż Żuławski był nieokiełznanym demiurgiem, znaczy kompromis zawsze załatwiał mu kałem.

Zdaje mi się, że to postawa arcynarodowa, aktualnie obowiązująca, godna pomników, wieńców i całej reszty.

Już sam pomyślał, by z miłego wszystkim prawdziwym artystom Paryża po raz trzeci wracać do szturchanej obcym butem ojczyzny – i to po tym, jak po nakręceniu „Diabła” (1972) zostało się poproszonym o jej opuszczenie, wydaje się godnym najwyższych zaszczytów przykładem patriotycznej dzielności. Dokumentalny obraz ma w moim odczuciu walory korekcyjne, przyjemnie regulujące dziejową optykę. Zafascynowany Wajdą, Żuławski miał całkiem zrozumiałą ambicję tworzenia z opcją „na wynos”. Nauczony przykrym doświadczeniem, pragnął dzieł uniwersalnych, oderwanych od uwikłania w lokalne utarczki o prawdę. Na pierwszy rzut oka postawa bardzo racjonalna, wszak każdy twórca chce dotrzeć do jak najszerszego grona odbiorców, a nie odwrotnie.

Niestety, najwyraźniej zagraniczne chowanie, edukacja i praca nie wypaliły w artyście pierwiastka romantycznego, który pod wpływem perturbacji rodzinnych począł stopniowo dominować i spychać reżysera z raz wytkniętego szlaku, ku miłej każdemu Polakowi katastrofie, zwanej czasem poetycko moralnym zwycięstwem.

Wielkie dzieło Żuławskiego powstawało ogółem przez 473 dni robocze, dni wolnych 106, dni kalendarzowych 579, ponad dwadzieścia kilometrów taśmy. Efekt to 72,5 proc. materiału, wciąż za mało, żeby ocalić jakiś sens. „Na Zachodzie nikt by nie dał na to pieniędzy” – stwierdza jeden z bohaterów dokumentu, z czym w świetle faktów trudno dyskutować, skoro kręcono z rozmachem, od pustyni Gobi, przez góry Kaukazu, Krym, aż po kopalnię soli w Wieliczce. W PRL-u udało się nakręcić niemal 3/4, pomimo wybitnych wysiłków wiecznie niezadowolonego reżysera, sabotującego własny projekt.

Namacalny dowód, jak duże możliwości był w stanie zapewnić rozchwiany system monopartyjny, zarządzający permanentnym niedoborem.

Plan zdjęciowy zamieniony w prywatną psychodramę, opłacaną z portfela publicznego. Ponoć Żuławski potrzebował jeszcze zaledwie dwóch tygodni, by zamknąć cyrk, tyle że sam kombinował jedynie, jak na zawsze odsunąć ten moment, bo było mu po prostu przyjemnie, kiedy czuł się źle. Demiurg „uciśniony” przez opresyjny system, któremu zrobił łaskę. W tak zwanym wolnym świecie obraz mógł znaleźć odbiorców jedynie jako „głos zza żelaznej kurtyny”, finansowany przez autodestrukcyjny „reżim”, element kanapowych intelektualnych przepychanek.

Zachowanego materiału jest wystarczająco dużo – to nawet nie zbliżało się do granicy oglądalności. Tak mógłby wyglądać Kabaret Olgi Lipińskiej, gdyby ta straciła poczucie humoru, zaczęła sypiać w trumnie, a tematem skeczów uczyniła twórczość np. Strugackich: – Panie reżyserze, mam grać? – Grać! Aż poleje się krew! – Tylko krew?

Ironią losu jest to, że Wajda był gotów nakręcić nawet własny pogrzeb, byle tylko stanąć jeszcze raz za kamerą i wystarczyło mu sprytu, by po przemianie ustrojowej nie wypaść z łask, z iście wałęsowską finezją reinterpreterując wymowę swych najlepszych filmów, kręconych dzięki środkom dostarczonym przez system, który, jak sam odkrył, od zawsze po cichu demontował. Zatem np. nie beznadzieja martyrologicznego obłędu w kanałach, tylko obraz chwały zwyciężonych, lecz niepokonanych lub odwrotnie; nie pieniaczy bandytyzm „niezłomnych”, konających na śmietniku historii, a samotność bohatera tragicznego, któremu w żyłach prócz bimbru buzowała tylko prawdziwie wolna Polska.

Żuławskiemu w kluczowym momencie zabrakło podobnie profesjonalnej obrotności, ale nie tupetu. W wywiadzie, jakiego po latach udzielił francuskiej telewizji, przedstawiał

się jako ofiara politycznych rozgrywek, a przecież wystarczyło czerpać przykład z mistrza artystycznej reżyserskiej woltyżerki.

Żuławski wolał „krwawić”, tworząc bez końca, a zatem sensu, niż zaproponować coś widzom. W normalnych warunkach zapewne mógłby się spodziewać pozwu o sprzeniewierzenie środków publicznych, a wtedy poproszono go tylko, żeby już przestał i po raz kolejny wyjechał. Ostatecznie tuż przed przemianą ustrojową sklecił resztkowy zapis swych zmagania z materią, tyle że nikogo to już nie obeszło. Ponoć nie zabrakło pieniędzy czy zaangażowania ekipy, tylko woli politycznej.

Takie ujęcie ma w kraju długą tradycję: zrobmy z tego sprawę polityczną i pozamiatane. Pewnie, zrobmy, wszak w PRL-u wszystko miało wymiar polityczny, nie to, co teraz. Teraz mamy wolność wyboru, dlatego z woli ludu pracującego miast i wsi w Polsce rządzą ludzie, bez których światłej opieki naród gotów popaść w tęgie kłopoty. Jest pięknie. Każdy może głośno mówić i otwarcie pisać, co myśli. Można tworzyć i kolportować ulotki, krytykować, a nawet wielokrotnie wyjeżdżać stąd w cholerę, jak ongiś reżyser Żuławski. Można też kręcić pełne zawsze patriotycznych treści filmy jak pan Wajda.

W moim subiektywnym odczuciu wszystkie te wielce zbożne formy aktywności mają jednak charakter zastępczy. Tak bywa, gdy zbiorowość obywatelska budowana od dupy strony, przez platonicznie zakochanych w demokracji chłopców malowanych, lecz pod spodem brudnych.

Ważne, żeby orzełek ładnie błyszczał w słońcu, oczywiście zawsze obok krzyżyka, nie zapominajmy o tym.

Autorstwo: Tadeusz Kwiatkowski

Źródło: [StudioOpinii.pl](http://StudioOpinii.pl)